

Gazeta XXXVII LO

propozycje

Nr 7 (217) rok XXIII,
I kwartał 2020, ISSN 1644-8359

Z Wami od 23 lat!





Wydawca: XXXVII Liceum Ogólnokształcące w Warszawie

propozycje

Nr 7 (217)
I kwartał 2020

SPIS TREŚCI:

<i>Szkolne kołędowanie</i>	4
-----------------------------------	----------

JULIA KRUPIŃSKA

<i>Cuda, cuda ogłaszają — czyli o chórze szkolnym</i>	6
--	----------

DOMINIKA MARZEC

<i>Najważniejszy bal naszego życia</i>	7
---	----------

MICHALINA WODZIŃSKA

<i>A może reżyseria? — wywiad z Bartłomiejem Jakubiakiem</i>	10
---	-----------

ROBERT BARSKI

<i>O myśleniu i poezji</i>	13
-----------------------------------	-----------

ANIA KALINOWSKA

<i>Olympe de Gouges</i>	16
--------------------------------	-----------

MICHALINA WODZIŃSKA

<i>Żołnierz królowej Madagaskaru</i>	20
---	-----------

IZABELA GAJ

<i>Kącik kulinarny</i>	21
-------------------------------	-----------

<i>Nowości biblioteczne</i>	22
------------------------------------	-----------

Drodzy Czytelnicy!

Z pewną dumą prezentujemy kolejny numer naszego szkolnego czasopisma. Dalej wprowadzamy zmiany, co zapewne widać już na pierwszy rzut oka po otwarciu tego numeru. Jednak pewne rzeczy niezmiennie pozostać muszą. Na przykład to, że nasza gazetka pisze o tym, co interesuje uczniów naszej szkoły.

Kolędowanie szkolne, które odbyło się tuż przed przerwą świąteczną, było jednym z najciekawszych (jak nie najciekawszym) szkolnym wydarzeniem roku, na którym wszyscy świetnie się bawili.

Wielu uczniów lubi pomagać innym, nie tylko na zasadzie organizowania zbiórek. Szkolny chór wystąpił w szpitalu, o czym jedna z naszych redaktorek z chęcią napisała.

Ten numer nie mógł zostać wydany również bez artykułu o studniówce szkolnej, która dla klas maturalnych była wielkim wydarzeniem, a dla klas pierwszych i drugich nadal jest czymś intrygującym i trochę tajemniczym.

Niektórzy z nas pasjonują się filmem. Jeden z naszych redaktorów postanowił więc przeprowadzić wywiad z reżyserem filmów krótkometrażowych, Bartłomiejem Jakubiakiem, żeby wszyscy mogli dowiedzieć się, na czym polega praca w takim zawodzie.

Niektórzy uczniowie chętnie dzielą się swoimi przemyśleniami na różne tematy. W naszym czasopiśmie zawsze znajdzie się na to miejsce. Dlatego w tym numerze przedstawiamy tekst napisany przez naszą reporterkę, traktujący o roli poezji w życiu.

Wielu ludzi szuka inspirujących i godnych naśladowania postaci historycznych. Jedna z naszych redakto-

rek postanowiła przedstawić Olympe de Gouges, nieco zapomnianą działaczkę z czasów Rewolucji Francuskiej.

Inna z naszych redaktorek postanowiła z kolei napisać parę słów o przedstawieniu teatralnym na podstawie *Żołnierza Królowej Madagaskaru*, napisanego przez Juliana Tuwima.

A na koniec do naszej redakcji wpadł sam Onufry Zagłoba, legendarny wojak, uczestnik wielu potyczek, i postanowił opowiedzieć pewną swoją historię, w której poznał bardzo ciekawy przepis na całkiem niezłe ciasto. Szkoda by było nie przekazać tej jego opowieści, więc i ten tekst znalazł się w naszym czasopiśmie.

Po zastanowieniu, co łączy wszystkie te artykuły w jedno, wniosek był jasny. Łączy je to, że opowiadają o tym, o czym uczniowie chcą czytać.

Nie zajmujemy więc więcej waszej uwagi i życzymy przyjemnej lektury.

Redakcja

Zespół redakcyjny

opieka	mgr Monika Warda-Stachowska
redaktor naczelna	Julia Krupińska
z-ca redaktor naczelnej	Izabela Gaj
sekretarz redakcji	Jakub Łada
redaktorzy	Julia Aleksiewicz, Izabela Gaj, Kasia Glegoła, Małgorzata Grudniewska, Anna Kalinowska, Adrianna Konysz, Julia Krupińska, Jakub Łada, Dominika Marzec, Natalia Pyrża, Michalina Wodzińska
wydawca	XXXVII LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE im. Jarosława Dąbrowskiego, ul. Świętokrzyska 1, 00-360 Warszawa, tel./fax.: 0 22 827 95 77 w. 328
kontakt z redakcją	e-mail: redakcja.propozycje@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany tytułów. Materiały niezamówione będą zamieszczone po uzgodnieniu z redakcją.

Szkolne Koledowanie

Ostatni dzień przed przerwą świąteczną był czasem składania życzeń kolegom i koleżankom oraz nauczycielom. Jednak nie tylko to czekało na uczniów, którzy tego dnia zawitali do szkoły.



Już na długo wcześniej odbywały się próby, żeby chór szkolny wypadł jak najlepiej. I trzeba przyznać, że cel został osiągnięty. Bardzo profesjonalnie przygotowany występ, starannie opracowany repertuar zawierający zarówno utwory polskie jak i zagraniczne, kolędy i piosenki świąteczne, oraz ten element zaskoczenia na sam koniec... To powodowało, że nikt na widowni nie nudził się ani nie wiercił niecierpliwie, licząc na to, że pozwolą mu już pójść. Nawet więcej, niektórzy odczuli pewien niedosyt, twierdząc, że występ był zdecydowanie za krótki. Jednak krótki czy nie, na pewno był to występ udany, a wszyscy miło spędzili czas. ▲



Nasi wykonawcy nie śpiewali a capella ani z gotowym podkładem. Znaleźli się uczniowie potrafiący grać na różnych instrumentach, co dodawało profesjonalizmu całemu występowi



Wszyscy uczniowie byli zaskoczeni metalowym akcentem na koniec koncertu. Było to zaskoczenie w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Cuda, cuda ogłaszają — czyli o chórze szkolnym

DOMINIKA MARZEC

Przed Świętami Bożego Narodzenia wszyscy razem uczestniczyliśmy w szkolnym kolędowaniu. Nie zabrakło wielu pięknych słów, nut oraz podziękowań i życzeń. Zapal uczestników chóru podczas wielu prób był niezwykle sprawnie wykorzystany przez nasze dwie uczennice: Klaudynę Zajac oraz Kingę Bułas, którym jeszcze raz chcemy podziękować za ogrom pracy.

W środę, 8 stycznia, poszliśmy odwiedzić małych pacjentów z Warszawskiego Szpitala dla Dzieci im. Mikołaja Kopernika, by umilić im trudny czas dźwiękami naszych kolęd. Jest to pierwszy szpital dziecięcy, który powstał na ziemiach polskich, działający nieprzerwanie od 1869 roku. Współpraca naszej szkoły z tym szpitalem sięga dalekiej przeszłości i trwa aż 20 lat! Już w 2002 roku młodzież naszego liceum mocno udzielała się organizując na jego terenie wiele akcji:

- malowaliśmy ściany na oddziale pediatrycznym, ożywając ulubionych baśniowych bohaterów dzieci,
- podczas ferii zimowych odnawialiśmy zniszczone i zardzewiałe łóżeczka nadając im kolorowy blask,
- codziennie pełniliśmy dyżury czytania maluchom, których nikt nie odwiedzał,
- przez lata prowadziliśmy akcję „Jesienna Muza”, przychodząc do małych podopiecznych z programem muzycznym.

Pomoc i wsparcie jakim obdarowywaliśmy tę placówkę urozmaicała dzieciom niekiedy długi pobyt w murach szpitala. Z takim samym zamiarem przybyliśmy i w tym roku. Gdy weszliśmy do budynku pierwsze co rzuciło mi się w oczy to architektura oraz wystrój. Niezwykle majestatyczny i zadbane hol w niczym nie przypomina standardowego szpitala, który każdy z nas zna. Zostaliśmy poprowadzeni po marmurowych schodach do „sali zabaw”, która była pełna różnych zabawek. Ustawienie instrumentów i samych siebie zaję-

ło nam niewiele czasu, więc za moment zobaczyliśmy przybywających do nas gości, z których większość była bardzo mała. Dzieci oraz ich rodzice zwinnie zajęli miejsca na przygotowanych wcześniej krzeselkach czekając na nasz występ. Wykonaliśmy cztery utwory: *Mario, czy już wiesz?*, *Cicha noc*, *Carol of the Bells*, a na koniec *Przybieżeli do Betlejem*. Nieświadomi tego co się zaraz stanie zaczęliśmy się klaniać. W tamtym momencie jedna z mam krzyknęła „Bis!”. Byliśmy lekko zaskoczeni, ponieważ nie spodziewaliśmy się tak entuzjastycznej publiczności. Stwierdziliśmy, że zaśpiewamy *Feliz Navidad*. Przegrupowaliśmy szeregi i już po chwili płynnie kołysaliśmy się w rytm granych dźwięków.

Po zakończeniu kolędowania podeszły do nas dzieci i ich rodzice. Otrzymaliśmy od nich piękną kartkę świąteczną, którą mali pacjenci stworzyli specjalnie dla nas, od dyrekcji szpitala dyplom z podziękowaniami oraz medal wybity z okazji 150-lecia istnienia Warszawskiego Szpitala dla Dzieci. Osobiście jestem bardzo usatysfakcjonowana tą wizytą. Uśmiech na twarzach tych dzieci był piękniejszy od jakiegokolwiek ziemskiego skarbu. Co prawda nie wszyscy mogli uczestniczyć w naszych odwiedzinach (niektórzy byli przygotowywani do operacji), jednak gospodarze zapewnili nas, że wszystkie drzwi, w których leżą pacjenci, były otwarte. To było naprawdę uskrzydlające doświadczenie. ▲



Najważniejszy bal naszego życia

MICHALINA WODZIŃSKA

Studniówka od czasów dzieciństwa widnieje w naszych umysłach jako wydarzenie, na które się czeka. Wszelkie bale w poprzednich latach nauki są jedynie namiastkami, przygotowaniem do tego najważniejszego – balu maturalnego. Nocy, którą wielu traktuje jako swoistą cezurę, oddzielającą czas beztroskiej nauki od intensywnego, acz skutecznego zakopywania się w książkach. Nauczyciele powtarzają, że po studniówce kontakt z uczniami już nie jest taki sam. Jednak prawdziwe zainteresowanie tą okazją bierze się zapewne z tego, że my, ludzie, uwielbiamy wydarzenia, które odbywają się jedynie raz. Studniówka z całą pewnością jest takowym.

Cale dzieciństwo myślałam, że ten dzień zacznie się wyjątkowo. Nic bardziej mylnego. Zwlekłam się z łóżka jak zwykle niewyspana, próbując rozmażanym wzrokiem odczytać godzinę na zegarku. Ptaki wcale nie ćwierkały w rytmie poloneza, drzemka dla urody okazała się jedynie mitem, a ja jedyne, na co czekałam z podekscytowaniem to spotkanie z przyjaciółkami. Dzień minął w mgnieniu oka.

Czułam, jak ciemne polny materiału kręcą piruety wokół moich szpilek. Staliśmy we foyer, a rozmowy, śmiech i stłumione okrzyki zachwytu rzuciły na wszystkich czar i karmiły nas mgłą podekscytowania. Suknie spływały rozkosznymi falami, muskając ziemię, natrafiając gdzieś na lśniący materiał męskich lakierów. Każdemu błyszczały oczy, a dźwięki poloneza jeszcze nie zawitały w naszych głowach, przez co z rozkoszą oddając się atmosferze, patrzyliśmy wszyscy po sobie. Nagle coś zabrzmiało w powietrzu. Wesola uwertura powitań, komplementów płynących wokół i atmosfery sielanki została przerwana, a my stojąc już w parach, brzmieliśmy już jedynie jak nerwowo nastrajane instrumenty.

Na szczęście podłoga nie była śliska. Tańczyliśmy, owinięci w kokon rodziców, nauczycieli i najbliższych, a muzyka słyszana tak wiele razy, w końcu wpasowała się w rytm naszych kroków, w reszcie nadała naszym ruchom wyglądu odmiennego od procesji pogrzebowej. Cztery tury rytmicznych kroków, stłumionych uśmiechów ponownie wywoływanych przez radosne okrzyki nauczycieli. Ulotne ruchy głowy, płynne piruety, ukradkowe potknięcia i polonez dudniący w uszach, zmuszający serca do bicia w jednym rytmie. Doświadczenie okazało się ciekawe i z pewnością godne

zapamiętania. Gdy suknie przestały sunąć po parkiecie, lakierki ostatni raz zalśniły w blasku lamp i fleszy, a muzyka zamilkła, w naszych głowach zaczęła krążyć jedna jedyna myśl – jedzenie.

Srebrne naczynia pełne potraw stały wzdłuż foyer i sali od początku balu i kusily, zmuszając żrenice do podążania za intensywnym światłem odbijającym się na ich powierzchni. Jednak na razie mogliśmy jedynie czytać plakietki z nazwami dań. Zanim zasiedliśmy, czekała na nas jeszcze leżąca się w uszy muzyka i para wirująca po całym parkiecie w walcu wiedeńskim, angielskim, tango oraz quickstepie. Po tym pokazie wkroczyliśmy do sali, w której stały stoły obite czarnymi obrusami, niczym wyspy, naznaczone gdzieś bielą kwiatowych ozdób. Po chwili zalaliśmy je falami kolorowych materiałów, rozmów i śmiechu. Czas na zdjęcia klasowe minął szybko wśród atmosfery jedzenia, przepysznej kawy i deserów. Następnie parkiet ponownie wypełnił się kłobowiskiem ludzi. Ciemne garnitury ginęły w falдах wirujących sukien, śmiech zagłuszał rozmowy, a błyszczące oczy przyćmiewały migające światła reflektorów.



O północy zobaczyliśmy film przygotowany przez uczniów, następnie odbyła się ceremonia rozdania Bogdanów, a pełne sentymentu spojrzenia posyłane z drugiego końca sali wraz ze świeczkami na wielkim torcie ogrzewały atmosferę. Ponownie sącząca się muzyka i pełen śmiechu taniec trwały aż do końca. Zanim się obejrzałam, była już piąta rano.

Gdy wychodziłam, czułam się dziwnie. Suknia ponownie wirowała wokół szpilek, ciemne poły płaszcza próbowały ją ujarzmić. Stawiałam zmęczone kroki na nierównym chodniku. Studniówka była już za nami. Cezura okazała się złudzeniem. Jak każda granica, bal maturalny okazał się chwilą. Ulotnym momentem, który zaraz zginie w huraganie wydarzeń. Ale jednak jadąc samochodem i wpatrując się w moje rumieńce odbijające się w szybie, czułam, że coś się zmieniło. Ta noc zaszczepiła we mnie melancholię. Rozpoczęło się mimowolne odliczanie do końca szkoły. Końca herbatek na lekcjach polskiego, włoskich piosenek śpiewanych całą klasą, wspólnego snucia się po korytarzach. Cukierków na poprawę humoru. Koniec tego wszystkiego, co towarzyszyło nam przez ostatnie jedenaście lat życia, a potem krok w wielką niewiadomą. Teraz już wiedziałam, że tamtej nocy w przestrzeń nie sączył się jedynie polonez. Oprócz nut wpłatanych w powietrze obecna była także melancholia. Melancholia w ilościach aż nadto starczających na kolejne sto dni. ▲





A może reżyseria? — wywiad z Bartłomiejem Jakubiakiem

ROBERT BARSKI

Bartłomiej Jakubiak jest absolwentem Warszawskiej Szkoły Filmowej. Jego zeszłoroczny film *Wolne pokoje* zdobył niemalą rozgłos w krótkometrażowym kinie dziecięcym w Polsce i na świecie. Obecnie jest na etapie produkcji swojego filmu dyplomowego, *Młyn*, który zapowiada się równie, a może i nawet jeszcze lepiej. Młody reżyser dzieli się z nami swoją przeszłością i problemami, z którymi musiał i nadal musi się mierzyć.

Robert Barski: Jak zaczęła się twoja przygoda z kinematografią?

Bartłomiej Jakubiak: To jest o tyle trudne pytanie, że wydaje mi się, że tak było od zawsze. Często na jakiś starych nagraniach rodzinnych, gdzie mam ze 3 lata, gdy mój tata nagrywa, to mówię „Daj kamerę, daj kamerę!”. Robiłem jakieś krótkie filmiki z moją siostrą, jak mieliśmy ok. 7-8 lat, taką domową, małą kamerką. W podstawówce większość zaliczeń, jakichś dodatkowych zadań, to były filmiki i tak to się ciągnęło. Po drodze myślałem, że może to jednak informatyka jest bardziej dla mnie, ale ona pojawiła się później, a film był zawsze. I tak już w gimnazjum robiłem dużo filmów, ale dopiero w liceum, gdy nastał taki cza, kiedy musiałem podjąć jakąś decyzję co dalej, bo już nie było za wiele czasu ze względu na matury, zaliczenia i tak dalej, to ostatecznie padło właśnie na robienie filmów.

Dobrze, podjąłeś już decyzję i masz wybrać szkołę. Skończyło się na Warszawskiej Szkole Filmowej, ale wiem, że myślałeś też o innych miejscach, m. in. Łodzi czy Katowicach...

Tak, tak. Tutaj kilka rzeczy się na to złożyło. Po pierwsze, ja poszedłem na filmówkę od razu po maturze, a to jest źle widziane w Łodzi i w Katowicach. Oni raczej tam oczekują, że przyjdzie do nich ktoś z doświadczeniem. Wiesz, ogólnie mało jest młodych reżyserów takich w moim wieku, nawet moi koledzy z roku są ode mnie 7-8 lat starsi. Mam gościa, który ma 30 lat, byłem też z biskupem na roku, 60 lat, który siedział obok mnie w ławce! Także ciekawe osobowości... Stało się też tak, że w Łodzi były dosyć napięte terminy, a ja w tym czasie robiłem dość duży film do liceum, *Więcej*

niż mury i to się pokryło tak, że miałem też w tym czasie robić teczkę. Bo wiesz, aby dostać się na filmówkę, to



musisz przygotować teczkę prac, gdzie są jakieś filmy, zdjęcia, dajesz to i potem oni to oceniają, a matura się nie liczy. Chciałem jeszcze składać do Katowic, ale musiałem wybrać tylko jedno miasto. Musiałem, bo trzeba by przygotować dwie różne teczkę, bo w Katowicach chcieli scenariusze, a w Łodzi zdjęcia, a ja nie byłem w stanie zrobić obu rzeczy naraz. Zdecydowałem się składać tylko do Łodzi, ale tam odrzucili mnie już na pierwszym etapie na pytaniach o wiedzę historyczną. Miałem bardzo małą tę wiedzę, ja bardziej od tej technicznej strony wychodziłem. W końcu tę samą teczkę złożyłem do Warszawy i tam mnie przyjęli, a potem już nie próbowałem tego zmieniać, chciałem pociągnąć to do końca.

Twój zeszłoroczny film *Wolne Pokoje* zdobył wiele zagranicznych nagród, m. in. Indie Short Fest w Los Angeles w dwóch kategoriach, czy Short to the Point w Rumunii. Co czułeś, jako młody reżyser, gdy dowiedziałeś się, że twoje dzieło dostało te nagrody?

Wiesz co, powiem trochę nieskromnie, że szoku jako takiego nie było. Film już wcześniej spotkał się z dobrymi opiniami i wiedziałem, że kina dziecięcego jest mało, więc miałem trochę takie fory, bo brałisms udział w festiwalach, gdzie mało ludzi robi takie filmy. Natomiast największe emocje na pewno były z Rumunią, bo to był mój pierwszy wygrany festiwal w życiu. Próbowalem wcześniej robić filmy na festiwale, w liceum, gimnazjum, ale nigdy się nie udawało, a Rumunia była pierwsza. To była na pewno duża radość, trochę też... Taka ulga, bo wiesz, jako twórca zawsze boisz się, że twoje dzieło nie zostanie zauważone. No zawsze podoba się rodzinie i znajomym (uśmiech), ale niekoniecznie musi spodobać się komuś innemu. Trochę robiłem tych filmów i żaden nie osiągnął żadnego sukcesu, więc był gdzieś taki lęk, że może to nie to, że może to nie dla mnie, a tutaj taka ulga, że to się stało.

A co cię zainspirowało do zrobienia *Wolnych pokoi*, historii o dziewczynce na wsi straszonej przez zjawę, jeżeli w ogóle coś takiego było?

Wiesz, z *Wolnymi pokojami* to jest taka historia, że zamysł filmu, który robię teraz, mojego dyplomowego *Młyna*, był trochę wcześniej. Planowałem go zrobić jako film drugoroczny. Natomiast on jest bardzo trudny, skomplikowany, ma dużo aktorów, plenerów i tak dalej. Zgłosiłem go do szkoły, ale powiedziano mi: „Wiesz, fajny projekt, ale może trochę poczekaj. Zrób coś mniejszego, naucz się jeszcze raz”... To przez mój pierwszoroczny film, którym się nie chwale. Nie wyszedł mi za bardzo, więc pozostał taki niesmak w szkole. No więc padł temat „zrobmy prostszy film”, to myślałem sobie, że zawsze chciałem robić to kino dziecięce. Spodobał mi się taki filmik na YouTube, taki „shorcik” właśnie, nazywa się *Suckablood*. To jest właśnie taki horror, w anturazie mrocznego, gotyckiego kina. Jest ta legenda, zgodnie z którą jak ktoś ssie kciuka to umiera, a główna bohaterka właśnie to robi, wiesz, coś w takim klimacie. Pomyślałem sobie, że chciałbym zrobić taki film. Na początku miał być to pięciominutowy eksperyment, ale na etapie prac nad scenariuszem to się rozrosło. Szczególnie, że moja promotorka, opiekunka artystyczna tego filmu jest scenarzystką i *Wolnych Pokoi* i *Młyna*. Zaczęliśmy z nią współpracować, potem zaczęliśmy tę historię opowiadać, chcieliśmy zrobić ją dobrze i tak film stał się pełnoprawną „trzydziestką”.

Wspomniałeś, że jesteś na etapie kręcenia *Młyna*, swojego filmu dyplomowego. Zrobiliście zbiórkę na Facebooku, zebraliście mniej więcej

5000-6000 złotych. Czy w końcu udało wam się zebrać odpowiednią kwotę?

To jest tak, że zebraliśmy na zdjęcia zimowe, już jesteśmy za nimi, skończyliśmy. Natomiast one trochę przerosły kosztorys. Stać nas na to było, ale trochę się ogolocalismy i teraz nie mamy kasy na zdjęcia w maju, więc wracamy do poszukiwań gotówki. To wygląda tak, że krótkie metraże są trudne. Są trudne z tego powodu, że nie są nastawione na zysk. To są filmy na festiwale, ewentualnie jakaś telewizja to kupi, ale za jakieś grosze. To nie jest tak jak z filmem kinowym. Filmy kinowe w Polsce kosztują około 3 milionów, ale to się zwraca, bo ludzie chodzą do kina, kupują DVD, coś tam, coś tam... a nasz film się nie zwróci, to jest już w założeniu. A więc taki producent, który chciałby w nas zainwestować, musi uwierzyć w to, że może my mamy jakąś wartość, a później, po skończeniu tego filmu, że nawiążemy z nim współpracę. To bardziej w ten sposób działa. I gdzieś tam znaleźliśmy takich ludzi już teraz, to jest nasz producent wykonawczy, takie stowarzyszenie artystyczne KMT, które zajęło się tą całą zbiórką, też sporo kasy dali od siebie i z nimi gdzieś tam dalej ciągniemy. Teraz mamy o tyle lepszą, łatwiejszą sytuację, że musimy zebrać... No, de facto tyle samo ile już zebraliśmy, ale mamy już materiał, mamy już nagrane sceny, mamy już demo, które montujemy teraz i będziemy z nim chodzić po konkretnych producentach, no i przedstawiać nasz projekt. Liczymy na to, że ktoś się na to zgodzi, jakieś firmy czy producenci.



Wróćmy do samego *Młyna*. Jak ci się pracuje z ekipą, jak wygląda typowy dzień na planie?

Tu nie ma „typowego” dnia na planie, bo plany filmowe są bardzo chaotyczne. Jest to po prostu pewien chaos, zbiór różnych dziwnych rzeczy, które trzeba

ogarnąć. Generalnie filmowiec wygląda trochę jak bezdomny, z tym, że zawsze ma iPhone'a i krótkofalówkę. Dzień pracy na planie ma 12 godzin, a nie 8, w czym jest godzina obiadu, to jest w ogóle standard w Polsce. Zawsze na koniec poprzedniego dnia przygotowujemy sobie plan na następny dzień, czyli podsumowujemy co zrobiliśmy, ustalamy jakie sceny trzeba nagrać, ile one zajmą... Następnego dnia kierownik planu rozdaje każdemu plan dnia. Potem przechodzę do pierwszej sceny. Najpierw przechodzę z operatorem i kierownikiem planu przebieg tej sceny, czyli gdzie aktor podejdzie, jakiego rekwizytu użyje itp. Operator wtedy wie, jak oświetlić, gdzie postawi kamerę, a kierownik planu zarządza rekwizytami, kostiumami, komfortem aktorów itd. Później wchodzę na górę domu do garderoby i przez ok. godzinę gadam z aktorami, oni akurat przyjeżdżają z hotelu, rozmawiamy o scenie, tekście, a na dole dzieje się chaos. Ludzie biegają, układają rekwizyty, ustawiają lampy, takie przygotowanie przed każdą sceną trwa z godzinę, półtorej. Potem schodzę, zostaje zarządzona absolutna cisza, przechodzę z aktorami scenę. Praca reżysera w dużej mierze jest tak naprawdę jeszcze przed planem, to jest czas kiedy rozmawiam z aktorami o ich postaciach, dlaczego coś robią, są czasami takie rzeczy, które w tekście wyglądają zupełnie inaczej niż zamierzony efekt, np. ktoś mówi „nienawidzę cię”, ale nie w geście nienawiści, a w znaczeniu „kocham cię”. To się dzieje przed planem. Na planie moja praca jest taka, że mówię aktorom gdzie mają stanąć, mówię „bardziej”, „wolniej”, „szybciej”, daję takie wskazówki. Na początku kamera stoi w pierwszej pozycji, nagrywamy wszystko w pierwszej pozycji, potem jest stop, ileś powtórek, aż będzie dobrze. Najczęściej zaczynamy szerokim planem, nagrywamy wszystko, całą sytuację, a potem dajemy kamerę z innym obiektywem i robimy jakąś twarz, jakieś detale, co ludzie robią, tego typu rzeczy. Więc potem jest przestawka na inne ujęcie, poprawka do światła – bo na ogół światło jest tylko dobre do jednego, konkretnego ustawienia kamery, potem jak się przestawisz to już kamera rzuca cień na aktora i trzeba przestawić te lampy wszystkie – a potem kręcimy dalej. I tak to trwa, trwa, trwa, koniec sceny i powtórka z rozrywki, czyli ekipa schodzi, ja przygotowuję z operatorem kolejną scenę, potem oni robią, ja idę na górę i tak dalej. Tak już jest do końca, po drodze jest obiad, potem koniec zdjęć. Jest taka tradycja na planach, i u mnie, i na profesjonalnych planach, że wszyscy się przytulają, dziękują sobie po takim dniu. To jest takie serdeczne, ale plan to jest dużo emocji, dużo napięć, taki trochę inny świat, więc taka serdeczność naprawdę pomaga.

A o czym dokładnie będzie twój film i kiedy będzie można go obejrzeć?

„Młyn” będzie miał premierę prawdopodobnie we wrześniu, bo gdzieś do końca maja będzie zebrany materiał i potem tylko montaż, udźwiękowienie. Tylko albo aż. „Młyn” w moim przypadku jest trochę wyjątkowy, ponieważ to nie jest kino dziecięce, a ja chcę iść właśnie w kino dziecięce, rodzinne. Natomiast „Młyn” to jest dramat psychologiczny i thriller w jednym, bo opowieść mieści się w ramach thrillera, napięcie, akcja i tak dalej, ale gdzieś tam z tyłu czuć dramat rodzinny. Jest sobie Piotr, ojciec, który miał dwóch synów. Starszy syn zginął w wypadku w nie do końca jasnych okolicznościach, czyli znaleziono jego ciało w wodzie i przyjęto, że po prostu gdzieś się tam wygłupiał i utopił. Rodzina nie potrafiła poradzić sobie z całą tą sytuacją i postanowiła uciec z domu. Wyjechali, zostawiając gospodarstwo niesprzedane pod opieką przyjaciela, na kilka lat. Po ośmiu latach pojawia się osoba, która chętnie to kupi, więc oni postanawiają wrócić, żeby zabrać rzeczy, wszystkie pamiątki i sprzedać to w cholerę, i mieć spokój. Tu się zaczyna fabuła, to co powiedziałem ci wcześniej zawarte jest w retrospekcjach, gdzieś na przestrzeni filmu. Już pierwszego dnia nasz bohater znajduje pewne ślady – fragment gry w podchody, takie w które bawił się kiedyś ze swoim zmarłym synem lata temu. Co więcej, okazuje się, że ta gra została przygotowana w przeddzień śmierci, przeddzień znalezienia tego ciała. Bohater podejrzewa, że jeżeli przejdzie tę grę, jeśli spróbuje znaleźć wszystkie wskazówki, to będzie mógł wyjaśnić w jakich okolicznościach zmarł jego syn. W ostateczności dowiaduje się, ale nie tego czego chciał się dowiedzieć.

Czy masz już pomysły na inne filmy, czy wiesz co chcesz robić po szkole, po nakręceniu *Młyna*?

Młyn to jest moja druga „trzydziestka”, więc, technicznie rzecz biorąc... Na ogół trochę inaczej to wygląda, bo studenci robią zazwyczaj „piętnastki”, piętnastominutowe filmy i trzydzieści minut to jest ich pierwszy duży film po szkole. A u mnie, no już zrobiłem pierwszą, teraz robię drugą, nie wiem nawet czy nie „czterdziestkę-piątkę” swoją drogą, więc takim następnym etapem byłby już pełny metraż, mam na to nadzieję. Są już pewne plany, pewne koncepcje historii w drodze, więc pracuję nad tym. Teraz muszę skończyć jeden film, znaleźć producenta, przedstawić projekt tego swojego drugiego i zobaczymy czy to się uda, ale w końcu chciałbym zrobić pełny metraż. ▲

O myśleniu i poezji

ANIA KALINOWSKA

Jedyną rzeczą, która pozwala człowiekowi uwolnić się od szarej i twardej skorupy rzeczywistości, jest myślenie. Odbieranie bodźców świata materialnego i przetwarzanie ich w taki sposób, aby spod cementu nieznaczącej powierzchni wydobyć to, co znajduje się pod nią. To, co sprawia, że świat przestaje być tylko przedstawieniem przemijających cieni, a przeobraża się w ideę. Pozostawiając w tyle platoński dualizm filozoficzny, należy zadać sobie pytanie. Jak bardzo nabieramy się na cienie tańczące po ścianie jaskini naszych rzeczywistości? Czy pędzimy tak szybko, że nawet niedopracowane stają się dla nas prawdą?

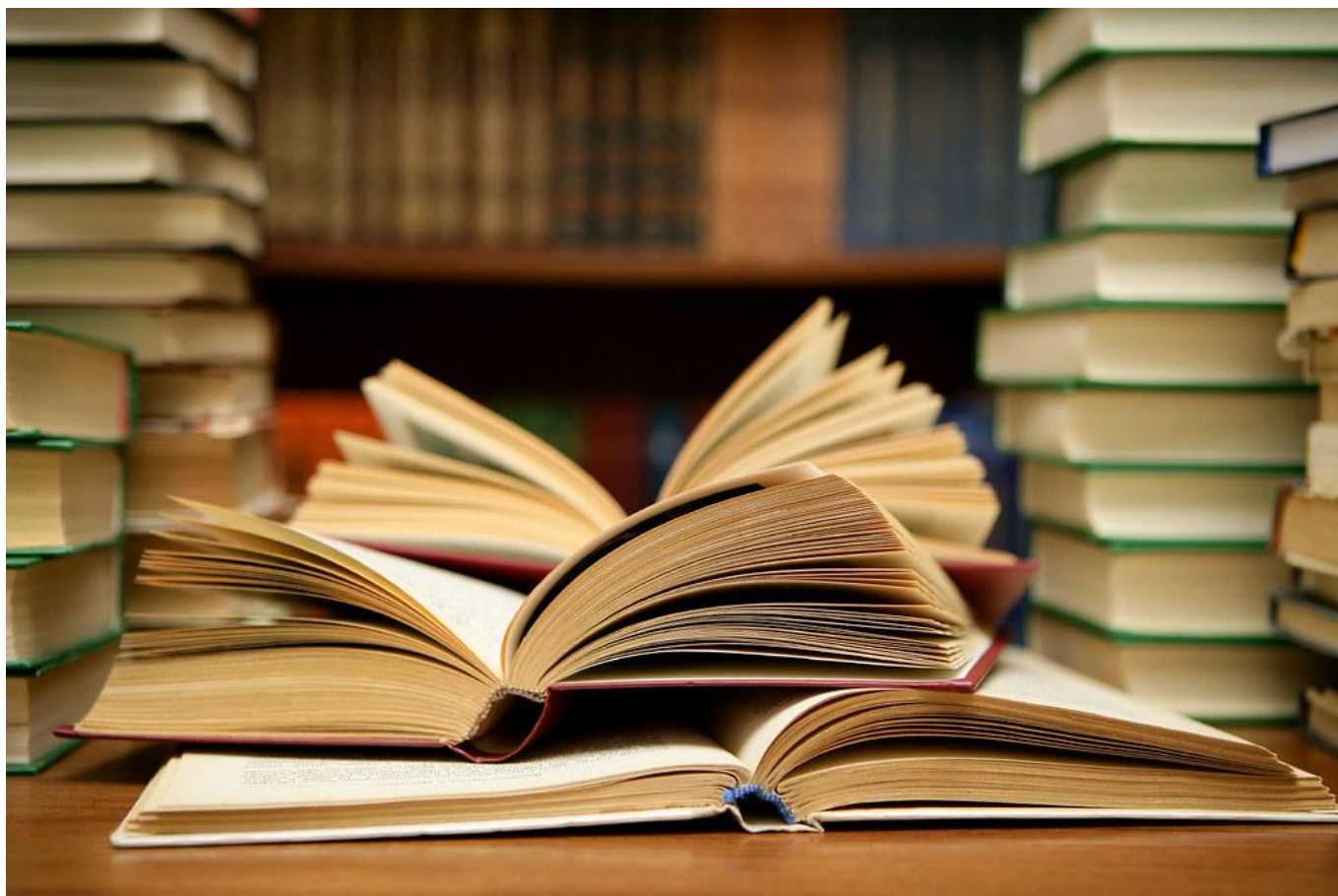
Jako społeczeństwo do wszystkiego mamy ułatwiony dostęp. Środki masowego przekazu zadbały o to, aby używanie mózgu było jak najmniej konieczne w kontaktach ze światem zewnętrznym czy kulturą. Jesteśmy otoczeni bezmyślną mgłą, która niczym cienie wydaje się przytaczać informacje w sposób tak złudny, przystępny i bliski, że nawet nie musimy wysilać wzroku. Obraz iluzyjnie prawdziwej rzeczywistości mający nam prosto przed żrenicami, a my zbyt zajęci biegiem, nawet nie zastanawiamy się, czy nie jest on przypadkiem jedynie pięknie pokolorowanym cieniem. Te słodkie opary, wydające się z początku naturalną koleją rzeczy postępu cywilizacyjnego, mającą na celu ułatwienie naszego bytowania na tym świecie, tak naprawdę są naszą zgubą. Nasz kontakt z realną teraźniejszością jest niemal zerowy. A nici łączące nas ze światem idei zwisają smętnie, tańcząc smutnego walca do rytmu przemierzającej się mgły.

Do takich wniosków doszła grupa włoskich poetów, których wizja wszechobecnej bezmyślności przeraziła na tyle, by zdecydowali się podjąć przeciwną walkę. Ich bunt wobec nowoczesnej rzeczywistości wynikał z przekonania, że gdy zanika myśl, zanika również sam człowiek, a co za tym idzie — kultura. Desperacko próbując ją chronić przed obojętnym tłumem, jakim stało się społeczeństwo, postanowili oni stworzyć stowarzyszenie zajmujące się przywracaniem w ludziach podstawowych wartości poprzez obcowanie ze sztuką.

Progetto Alfa, poprzez zrzeszenie piętnastu krajów i przekład swojej działalności na dwanaście języków, stał się międzynarodowym symbolem próby wskrzeszenia człowieka zdolnego do przemyśleń i kierującego się ciągłą potrzebą zdobywania wiedzy. Postęp cywilizacyjny skoncentrował zbyt wiele uwagi na

jednostce, przez co zapomniano, że żyje ona tylko w konfrontacji ze społeczeństwem, które przetrwało tak długo wyłącznie dzięki spajającym je wartościom: pięknu, solidarności, tożsamości i dialogowi. Wierząc jednak w możliwość kulturowego odrodzenia się człowieka, Projekt Alfa za swój znak rozpoznawczy przyjął niebieski płomień, który jest symbolicznym przedstawieniem ognia żarzącego się w umysłach tych, którzy stosują się do projektu i który zaszczenia w nich znajomość, być może nie utraconych jeszcze w całości wartości. Kolor niebieski oznacza niebo, morze metafizyki, ale także oczyszczenie i nową wiedzę. Ktokolwiek rozpali w sobie ten płomień, stanie się świadomym prekursorem nowego renesansu człowieka. Według założeń projektu, wiedzę należy pielęgnować każdego dnia. Jego obowiązkiem jest promowanie inicjatyw, które są zarzewiem tego płomienia dla naszego społeczeństwa. Podczas spotkania z uczniami liceum im. Jarosława Dąbrowskiego w Warszawie prezes stowarzyszenia, Massimiliano Greco, stwierdził: *W dzisiejszych czasach jest mało miejsca na normalność. Kiedy przyglądamy się mieszkańcom Mediolanu będącym w ciągłym pośpiechu, widzimy, że brakuje im momentu na przemyślenia. Kultura, obcowanie z nią, pozwala nam odnaleźć ten moment. Nasz projekt służy właśnie dzieleniu się sztuką tak, aby obudzić w tym nihilistycznym społeczeństwie chęć myślenia. Ale jakich środków użyć, by móc odkryć w sobie skłonność do jakiegokolwiek refleksji?*

Od niepamiętnych czasów doceniano w tym zakresie religię pojmowaną nie jako wiarę w istnienie wszechmocnego Absolutu czy Absolutów w przypadku religii politeistycznych, ale jako narzędzie naprawy moralnej człowieka. Było to coś, co podkreślało jego wartość, dawało nadzieję na sprawiedliwy sąd i wskazywało drogę właściwego postępowania wobec drugiej osoby. Dając przekonanie o własnej wartości, wiara potrafiła być tłamszona, a jej wyznawcy prześladowani ze względu na siłę duchową, jaką posiadali. Przyglądając się chociażby dziejom najbliższej nam religii, chrześcijaństwu, spotkamy się z licznymi próbami ateizacji wiernych. Przykładów nie trzeba szukać w odległej historii. Dwudziestowieczne systemy totalitarne powstałe na wschodzie i zachodzie Europy dążyły do wykorzenienia wiary w Boga, stosując okrutne kary na tych, którzy nie chcieli się Go wyrzec. Można zadać sobie pytanie — po co to wszystko? Po co zadawano sobie tak wielki trud, aby zniszczyć coś, mogłoby się wydawać, abstrakcyjnego?



Wiara, jak nic innego, uczyła myśleć. Opierając swoje doktryny na podstawowym podziale na dobro i zło, wskazywała właściwe postawy, zabraniała zgadzać się na zadawanie cierpienia, bólu, a co za tym idzie, prowadziła do ożywienia w człowieku woli walki przeciw niesprawiedliwości. Wobec religii każdy był równy, każdy miał takie same szanse na odkupienie i ani pochodzenie, ani majątek, ani narodowość nie miały znaczenia. Liczył się tylko sam człowiek. Wiara potrafiła umacniać duchowo tak mocno, że żaden system nie był w stanie podporządkować sobie jej wyznawców. Będąc wieczną refleksją, namawiając do głębszego pojmowania świata, religia dawała poczucie nieograniczonej wolności.

Dziś zanika z zupełnie innych przyczyn. Stała się bardziej cechą przypisywaną konkretnej grupie społecznej reprezentowanej często przez jednostki skażone, niż faktyczną wartością. Religia utraciła swoją dawną chwałę, przeistaczając się w pojmowaniu niektórych nawet w obelgę. Co więcej, obserwując ciągle postęp cywilizacji, nieustanny pęd, w którym się znaleźliśmy, można stwierdzić, że na wiarę zaczyna brakować miejsca. Jest to bowiem coś, co zajmuje czas, a nikt z nas go nie ma. Pośród miliona spraw teraźniejszych, a także tych przeszłych i przyszłych, nie możemy sobie przecież pozwolić na zatrzymanie się i, *Boże zachowaj*, zastanowienie się nad faktycznym sensem naszych działań. Odcho-

dząc od religii, odchodzi się od stawiania sobie niewygodnych pytań o przyczynę, sposób egzekwowania i skutek wszystkiego tego, z czym boimy się konfrontacji — z nami samymi. Przeraża nas świadomość własnych błędów, ponieważ w rzeczywistości, którą stworzyliśmy, nie ma na nie miejsca. Chyba najwyższy czas przypomnieć sobie, że człowieczeństwo zawiera się w ciągłym błędzeniu i na wpół ślepej pogoni za prawdą.

Ramię w ramię z religią podąża jeszcze jeden sposób odkrywania światów wewnętrznych jednostki, będący jednym z najwspanialszych wynalazków człowieka — pismo. Rola literatury w kulturze jest nieoceniona, bowiem towarzyszyła ona ludzkości w każdym momencie jej rozwoju, w bardziej lub mniej zaawansowanej formie. Wielkie utwory dramatyczne czy prozyczne tworzone przez wybitnych myślicieli (bo tytuł ten należy się każdemu prawdziwemu pisarzowi) inspirowały pokolenia i prowadziły do stałego poszerzania się naszego dziedzictwa kulturowego. Ale pisanie to nie tylko obszerne rozprawy filozoficzne czy wymyślne manifesty, niczym te wyjęte spod pióra Przybyszewskiego. Pisanie to my: nasze zapiski w pamiętnikach, nasze krótkie anegdoty zapisane w notatkach w telefonie, nieśmiało początki jakiejś fikcyjnej historii i rozdmuchane eseje na denerwujące nas tematy. Gdy człowiek raz podejmie się trudu napisania czegoś, nie ze względu na wymagającego nauczyciela polskiego, lecz dla samego siebie, dla

swojej wewnętrznej potrzeby oczyszczenia głowy i serca, jest skazany na odnalezienie nieskończonych przestrzeni spokoju ducha, pewnego rodzaju zatracenia w ulotności chwili i pozostania w niej na bliżej nieokreślony, za to całkowicie dowolny moment. Pisanie to odkrywanie siebie każdego dnia na nowo, dochodzenie do, być może, sprzecznych wniosków, próba zrozumienia niezrozumiałego. To jednocześnie okazanie obezwładniającej słabości i niepokonanej siły, pozwolenie sobie na każdą emocję, która wydaje się nie mieć prawa bytu. Poprzez pisanie stajemy się władcami własnego losu, bo prowadzi ono do zagłębienia się w nieznane czeluści własnego umysłu i odkrycia przerażających prawd o wszystkim, co nie pozwala nam wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć czystego poznania. Pisanie to nieskończony ratunek przed marnością.

Lecz jakie miejsce w tym pisaniu zajmuje poezja? Od zawsze wielbiona, od zawsze idealizowana jako piewczyni treści niedostrzegalnych dla zwyczajnych, ludzkich żreń. Dlaczego te słowa, na wieki ułożone, zastygłe w znaczeniu, nadal kuszą? Nadal zatrzymują czas i wydają się wisieć w powietrzu za każdym razem, gdy zostaną zamienione w dźwięk? Wszystko sprowadza się do tego, że w poezji słowa nic nie znaczą. Słowa przestają być systemem znaków, przestają pełnić funkcję, do której zostały stworzone. Poezja tworzy iluzję, tworzy wrażenie, tworzy emocje. Nie ma w niej konkre-
tów. Jest tylko ulotne uczucie, które w pełni zależne jest od bagażu emocjonalnego odbiorcy, od jego przeżyć, nastroju. Jest aktem chwili, przemijającym momentem. Jest uniwersalna, wiecznie się dostosowuje, leje się przez rozciągnięte włókna umysłu i koi te nabrzmiałe, spragnione odpowiedzi. Co nas sprowadza do kwestii najistotniejszej — poezja odpowiada. Odpowiada na pytania, które jeszcze nie zostały zadane, na pytania niesformułowane, na pytania, o których istnieniu sami nie mamy pojęcia, a jednak dotyka ich ona swoimi ulotnymi dłońmi i odnajduje ich sens.

*Mżawka, smuga światła
wychudłe i blade policzki*

*Ktoś przychodzi, czy odchodzi,
nie ma znaczenia.
Błądzące spojrzenia,
palce splecione bez przyszłości
i teraźniejszości,*

która już jest chwilą wczorajszą.

*Pomiędzy zapomnianymi pieszczotami
powiewają zawirowania psychiczne,
które rozdrabniają wspomnienia
w stłumione zabójcze łzy.¹*

Obrazy kołaczące się w głowie. Uczucie zimnych łez gaszących gorące rumieńce. Dotyk dolin czyjejś skóry na palcach. To nie są słowa. To nie są znaki. To czyste uczucie. Czyste myśli zamienione w kojącą mgłę.



Wszystkie te elementy: religia, wiara, pisanie, poezja, sprowadzają się do jednego wniosku — aby prawdziwie żyć, trzeba myśleć. *Cogito, ergo sum*, kołacze nam w głowach. Zatraceni w bezsensownym pośpiechu, zapominamy o wartości chwili. Nasze życie składa się bowiem z niezliczonych momentów, ułamków sekundy, mrugnięć powieki i płytkich oddechów. Gdy myślimy, nie istniejemy w czasie. Jesteśmy *palcami splecionymi bez przyszłości i teraźniejszości, która już jest chwilą wczorajszą*. Pozostajemy jedynie sami ze sobą. Nie pędzimy za przeszłością, nie martwimy się teraźniejszością, nie topimy się w przeszłości. Jesteśmy jedynie my. I myśli stapiające się w jedność z oszalamiającym rytmem serca bijącego w naszej duszy. ▲

¹ wiersz *Lacrime* (z wł. Łzy), tłumaczenie Hohn Lorella, jedna z uczestniczek spotkania

Olympe de Gouges

MICHALINA WODZIŃSKA

Siedemnastego maja 1748 roku w Montauban nawet jeszcze nie szmerły najcichsze pomruki rewolucji, gdy Marie Gouze przychodziła na świat z łona Anne-Olimpe Mouisset i pierwszy raz smakowała powietrza, tak bardzo nasączonego wodą kolońską skąpanych w polityce mężczyzn, że nie było w nim miejsca na najmniejszą kropelkę wody toaletowej o delikatnym zapachu świeżej myśli. Można zaryzykować stwierdzenie, że malutka Gouze już wtedy wciągnęła w swe płuca część męskich perfum i tym samym zrobiła sobie miejsce na swe przyszłe, głośno pachnące nową ideą działania. Urodziła się w rodzinie mieszczańskiej, związanej z arystokratycznym rodem LeFranc de Pompignan. Późniejsze karty wspomnień de Gouges były naznaczone licznymi wspomnieniami burzliwego romansu, który złączył jej matkę z markizem Pompignan i miał dać początek jej istnieniu. Jednak te domniemania nie zostały nigdy potwierdzone przez markiza, a Olimpia kurczowo trzymając się swoich arystokratycznych korzeni i wspomnienia o ojcu, wybitnym poecie, szła przez życie, zostawiając w historii niezwykle trwale ślady (choć częściowo zapomniane), owocujące doktryną zwaną dzisiaj feminizmem.

Czysto polityczno-społeczna kariera de Gouges rozpoczęła się wraz z jej przyjazdem do Paryża w wieku osiemnastu lat. Jednym ze skutków tej przeprowadzki była całkowicie ambiwalentna zmiana jej imienia. W ten sposób zarysowała, przepowiedziała i ukoronowała całą swoją działalność na polu publicznym. Tym samym z dawnej Marie Gouze narodziła się Olympe de Gouges, której nazwisko po głębszej analizie krzychało samo za siebie. Sophie Mousset (pierwszej biografii Olympe) pokazuje, że słowo *gouge*, w ówczesnych czasach, oznaczało kobietę zadającą się z podejrzanymi mężczyznami, w niektórych kontekstach nawet "żołnierską dziwkę". Przez dodanie arystokratycznego *de* możemy dostrzec odniesienie Olympe do jej pochodzenia, a także przede wszystkim istną prowokację, wręcz ironię, która odznaczała się odwagą i determinacją.

Niektóre postulaty, które de Gouges głosiła i o które walczyła z taką zajadłością, doskonale odzwierciedlają jej doświadczenia życiowe i problemy, które dotyczyły ją samą. Patrzenie na to z tej perspektywy daje odmienny pogląd na jej biografię i powoduje, że dostrzegamy znacznie bardziej emocjonalne podłoże. Na



jej przykładzie możemy dostrzec, jak życiowe doświadczenia kształtują i rzeźbią przekonania człowieka, jaką dają siłę napędową do burzenia poglądów i idei utwardzonych nawet w najstarszych i najbardziej niezniszczalnych diamentach z Wersalu.

DLA DZIECI NIEŚLUBNYCH

De Gouges niezwykle zażarcie walczyła o uznanie praw dzieci nieślubnych. Kwestia ta rozbrzmiewała głębokim echem w jej dzieciństwie, rezonując ostatnimi szmerami w dorosłym życiu. Przez większość swojego żywota uważała się ona za dziecko markiza LeFranca de Pompignan, który nigdy nie uznał swojego ojcostwa i w żaden sposób nie zaangażował się w jej wychowanie i utrzymanie. Trzeba odnotować, że motyw porzuconego dziecka, bękarta, często występował w jej późniejszej twórczości i w pewnym momencie przeobraził się w aktywne, polityczne działanie na rzecz takich dzieci. Ciągłe przywoływanie tematu jej ojca kreuje niezwykle sprzeczny obraz jej osobowości, który można interpretować dwojako — zarówno jako podkreślenie jej arystokratycznego pochodzenia ze szczyptą

drwiny z patrylinearnego systemu pokrewieństwa, ale także jako określenie aspiracji twórczych. De Pompi-gnan, jako prawdziwy *l'homme des lettres*, był szanowanym dramatopisarzem, poetą i członkiem *Acade'mie de Francaise*. Co ciekawe, De Gouges zadebiutowała ze swoją powieścią epistolarną *Memoire de Mme, de Valmont* w 1784 — w roku, w którym umarł markiz de Pompi-gnan. Poruszyła w niej kwestię przeszkód, które często naznaczały życie nieślubnych dzieci, ale także problem, który dotknął jej samej niezwykle mocno — małżeństwo wbrew woli kobiety.

DLA KOBIET W GROBIE DLA ZAUFANIA I MIŁOŚCI

Marie, mając szesnaście lat, została zmuszona do poślubienia Louis-Yvesa Aubry'ego, handlarza z Lyonu, który dużo starszy wiekiem, dzięki jej posagowi mógł otworzyć w Montauban własną gospodę. Niedługo potem Marie urodziła mu pierwszego syna Pierre'a, jednak zaraz po jego narodzinach Aubry pożegnał się ze światem, pozostawiając swoją żonę z pokaźnym majątkiem i namiastką praw za sprawą „wdowiej wolności”. Marie zdecydowała przenieść się do Paryża, obiecując sobie, że nigdy w swym życiu nie zwiąże już sobie rąk węzłem małżeńskim. Jej pełne gorczy słowa, dodane kilka lat później, ukazują głęboką ranę, która nigdy nie zablizniona, emanowała bólem przez resztę jej życia.

Małżeństwo to grób dla zaufania i miłości.

Tym samym wyrażała kres swej wiary w tak silnie zakorzenioną w tamtych czasach ideę rodziny dowodzonej przez mężczyznę i odstępowała od przekonania, że kobieta mogła zyskać jakąkolwiek tożsamość społeczną dopiero w związku małżeńskim. Zajadłe walczyła o prawa kobiet do rozwodu oraz domagała się ustanowienia prawa małżeńskiego, które działałoby na korzyść kobiet i powodowałoby choćby najmniejsze rozluźnienie krat, które tak skutecznie zasłaniały im świat zewnętrzny, inny niż ten oświetlony płomieniami domowego ogniska. Narażała się tym na nieustanne docinki odnoszące się do jej rzekomej niemoralności i pełnienia funkcji metresy. Ta kwestia jest często poruszana przez badaczy, zatem niezwykle trafne wydaje się przytoczenie w tym momencie stwierdzenia Giseli Thiele-Knobloch:

Oczywiście historycy nawet dzisiaj interesują się bardziej ilością i prestiżem kochanków de Gouges aniżeli jej obszernym dziełem i jej politycznymi osiągnięciami. Wciąż jeszcze wolą postrzegać ją zgodnie z tradycyjną kliszą jako kurtyzanę i/ lub wojowniczkę, aniżeli poważnie zajmować się jej pismem.²

Trzeba również zaznaczyć, że de Gouges rzeczywiście była utrzymanką kilku znanych i szanowanych mężczyzn, jednak nie można wyciągać zdecydowanie zbyt dalekiego idącego wniosku, że jednocześnie pełniła funkcję kurtyzany. Zdawała sobie sprawę, że jedynym sposobem, aby jej głos zabrzmiał w paryskim powietrzu, było zaistnienie w świecie salonów i zdobycie niezwykle pożądaných znajomości, które pozwalały jej na dosadne głoszenie swoich poglądów. Także tych propagujących prawo kobiet do samodzielnego i w pełni świadomego decydowania o swoim życiu a także, co za tym idzie, również do wyboru partnera seksualnego.

DLA PŁCI ŻEŃSKIEJ SPĘTANEJ MĘSKĄ

Swoimi poglądami de Gouges świadomie polemizowała z tak wszechobecnym w tamtych czasach obrazem patriarchalnej rodziny i wystawiała go na próbę we własnym życiu. Własnym przykładem dowodziła, że jako niezamężna kobieta jest w stanie się utrzymać i żyć takim życiem do jakiego (według niej samej) została powołana. To, jak kobiety w XVIII-wiecznej Francji były zależne od woli mężczyzn i zamożności swoich rodzin, można dostrzec, obserwując sytuację panującą w kręgach mniej zamożnych. Młode kobiety z klasy niższej często musiały same pracować na swój posag. Ich zarobki były znacząco niższe niż te otrzymywane przez mężczyzn, co było argumentowane tym, że mężczyźni musieli zarabiać na utrzymanie całej rodziny. Dziewczęta decydowały się często na przeprowadzkę do miast, aby tam pracować, nawet przez okres dwunastu lat, zanim zostały wydane za mąż. Pensje niektórych z nich były tak niskie, że były zmuszone do zajęcia się prostytutką, tym samym niszcząc jakiekolwiek szanse na małżeństwo.

Olympe zdecydowała się na pójście całkowicie inną ścieżką, wprowadzie już przerzedzoną z największego bluszczu jednak nadal dosyć bujnie porośniętą roślinnością obelg i społecznego piętnowania. Zawiażywała znajomości z wieloma liczącymi się mężczyznami, m.in. z Jacques Bie'trix de Rozie're, dzięki któremu jej syn mógł rozpocząć karierę wojskową. Była członkinią salonów *femme galantes*, których obowiązki w żaden sposób nie opierały się na zaspokajaniu seksualnych potrzeb darczyńców. Jej liczne kontakty pozwalały na prowadzenie samodzielnego życia i parcia przez nie z głową uniesioną tak wysoko, że żadne opinie a propos jej rzekomej prostytutki nie były w stanie przebić się przez chmury pewności siebie i poczucia misji.

DLA POZBAWIONYCH RUDYMENTARNYCH UMIEJĘTNOŚCI

¹ G. Thiele-Knobloch, *Olympe de Gouges: Denkschrift der Mme de Valmont*, Frankfurt am Main 1993

Gdy w 1784 roku Olympe wydała swoją pierwszą (już wyżej wspomnianą) epistolarną powieść autobiograficzną, ta nie odniosła sukcesu i nie była to wina, w żadnym wypadku, braku talentu, ale faktu, że Olympe nie posiadała elementarnej umiejętności pisania. Podczas panowania Ludwika XIV (1648- 1715), tylko 10 procent kobiet żyjących na prowincjach Francji umiało pisać. Z klasy pracującej tą umiejętność posiadała jedynie co trzecia kobieta. W większych miastach szkoły były dostępne dla nielicznych dziewcząt, co skutkowało tym, że młode przedstawicielki płci żeńskiej były nauczane głównie w domach przez matki i czasem uczęszczały do klasztorów żeńskich, aby nabyć tam elementarnych umiejętności. Pomimo faktu, że światło oświecenia już od dawna wówczas padało na Francję, powszechną umiejętność czytania wśród kobiet nadal postrzegano jako niebezpieczną, gdyż wiele tekstów literackich (a przede wszystkim Biblia) mogły zostać przez nie „źle zinterpretowane”.

Naturalny staje się więc powszechny analfabetyzm wśród niższych warstw społecznych. Olympe, z powodu braku dostępu do powszechnej edukacji, porozumiewała się jedynie lokalną odmianą francuskiego, i będąc już w Paryżu, wiele czasu poświęciła na samodzielne studia i przyswojenie oficjalnego języka. W jej dziełach wyraźnie można dostrzec efekty tej pracy, gdyż zdobi je mozolnie stworzona koronka wiedzy z historii, również historii antyku oraz teatru francuskiego, która wykańcza idealnie gładki i lśniący od blasku oświecenia materiał inspirowany dziełami Rousseau. Ale na tej tkaninie najbardziej widoczne były zdecydowanie jej własne przekonania, które, z początku, dyktowane skrybom, stawały się w końcu dziełami literackimi, będącymi najbardziej dosadną formą ekspresji de Gouges.

DLA PRZELEWAJĄCYCH EMOCJE W TEATRALNE POWIETRZE

Przez całe życie Olympe, porośnięte bujną roślinnością ciągłej walki o swoje przekonania, silnej osobowości, niezłomności i kobiecości, zawsze drogę znajdował jeden promyk światła, który ogrzewał jej serce. Był to teatr. Teatr stał się narzędziem do wyrażania własnych poglądów politycznych. Teatr, w którym fale jej weny twórczej mogły się spokojnie rozlewać, a przede wszystkim teatr, w którym echo ważnych dla Olympe spraw społecznych rozbrzmiewało najgłośniej. Pierwszy dramat, który jej to umożliwił, wyszedł spod jej pióra niedługo po wydaniu pierwszej powieści. Echo *Zamore e Mirza ou l'heureux naufrage* miało za zadanie kierować wzrok ludu na sytuację niewolników we francuskich koloniach, jednak po premierze sztuki w 1789r. zostało

ono szybko uciszone przez bogatych sponsorów *Come'die Française*. Olympe walczyła przez wiele lat, aby jej dramaty mogły zostać wystawione na scenie. Mijały miesiące pełne zmagania, pisanie listów, petycji i czekania na audiencje, które de Gouges opisała w swoim *Liście do francuskich literatów*. Jego karty były nasączone goryczą, odwagą, zmęczeniem oraz chęcią uzyskania chociaż szczypty zrozumienia w sprawie wystawiania jej sztuk.

Marzeniem de Gouges, ściśle inspirowanym męskimi więzami pętającymi sceny francuskie, było otwarcie kobiecego teatru, którego widownia smakowałaby słów spisanych jedynie przez kobiety, którego deski nasączone byłyby jedynie kobiecymi łzami i kobiecym potem. Było to marzenie, które trzepotało w powietrzu przez całe jej życie, jednak nigdy nie zostało zrealizowane.

DLA CHĘTNYCH STANIA NA MÓWNICY

W Paryżu głos de Gouges rozbrzmiewał najgłośniej na polu polityki, której uprawianie rozpoczęła



² S. Mousset, *Woman's Rights and the French Revolution. A Biography of Olympe de Gouges*, New York 2017

wraz z burzą, jaką wywołał jej pierwszy dramat. Niczym Hera, dzierżąca pioruny Zeusa, ciskała nimi w tłum niesprawiedliwości społecznych i nierówności wobec prawa, rozwieszając broszury, plakaty i manifesty, pisząc petycje oraz listy. Największy rozmach nabrała wraz z deszczem protestów społecznych, zwiastujących wybuch rewolucji, której była zwolenniczką. W jej trakcie otwarcie krytykowała Robespierre'a i Marata, których ugrupowanie w 1793r. wprowadziło Wielki Terror, zalewając jego potężną, krwawą falą całą Francję. Jako że de Gouges była jednym z wielu epicentrum tego tsunami, czerwień ta zamknęła w swych objęciach także ją. Została aresztowana w trakcie rozwieszania gazetki ściennej. Będąc w więzieniu nadal pisała polityczne teksty przeciwko Robespierre'owi, a pod koniec roku 1793r. została przeniesiona do tzw. *przedziónka szafotu*. Tam napisała list do swojego syna, w którym pisała, że akt oskarżenia przekazano jej trzy dni przed śmiercią, a gdy poprosiła o widzenie się z obrońcą:

[...] odpowiedziano mi, że mam dość inteligencji, żeby bronić się sama.

Olympe po raz ostatni posmakowała powietrza 3 listopada 1793r. stojąc dumnie na szafocie i zdając sobie sprawę z tego, że prawo do stania na mównicy dzielnie wyszarpywała sobie sama przez całe swoje życie.

DLA KOBIETY I OBYWATELKI

Większość poglądów de Gouges, większość kwestii związanych z równouprawnieniem, o które tak namiętnie walczyła, zostały skonsolidowane w słynnej *Deklaracji praw kobiety i obywatelki*, która była przez nią wydana w roku 1793 w odpowiedzi na *Deklarację praw człowieka i obywatela*. Olympe wysłała ją do Zgromadzenia Narodowego, jednak tam nie doczekała się żadnego odzewu.

Proroczko nawiązując do niezwykle popularnego dzisiaj stereotypu kobiety-feministki, marzącej jedynie o zniszczeniu wszystkich mężczyzn, de Gouges nawołuje w deklaracji do równego traktowania przedstawicieli obu płci. Wyraźnie zaznacza:

VII. Żadna kobieta nie jest wyjątkiem: może zostać oskarżona, aresztowana i przetrzymywana w przypadkach określonych przez prawo. Kobiety, podobnie jak mężczyźni, podlegają temu samemu, niezawisłemu Prawu.

XIII: Kobieta i mężczyzna wnoszą równy wkład w utrzymanie organów bezpieczeństwa publicznego i wydatki administracyjne, kobieta uczestniczy w całej państwowości, we wszystkich uciążliwych obowiązkach i z tego tytułu powinna mieć prawo do części w rozdziale stanowisk, urzędów, posad, honorów i zawodów.³

Istnieją zdania, zapisane w tej deklaracji, które nadal rozbrzmiewają w powietrzu, nadal inspirują i nadal powodują dreszcze.

Skoro kobieta może zgodnie z prawem zawisnąć na szubienicy, winna również mieć prawo stanąć na mównicy.

Najgłośniejsze, najbardziej nagłać i porażające, a przede wszystkim najbardziej adekwatne do dzisiejszych czasów jest zakończenie deklaracji:

Kobiety, obudźcie się! [...] Uznajcie swoje prawa! Potężne imperium natury nie będzie już dłużej okryte całunem uprzedzeń, fanatyzmu, przesądów ani kłamstw. Pochodnia prawdy rozproszyła chmury głupoty i wykroczeń. Jako niewolnik, mężczyzna powiększył swoją siłę dziesięciokrotnie, a potem zwrócił się do Was o pomoc w uwolnieniu go z jego łańcuchów. Teraz wolny, traktuje swój kobiecy odpowiednik niesprawiedliwie. Och, kobiety! Kiedy w końcu przestaniecie być ślepe? Jakże są korzyści płynące z Rewolucji? Bardziej rażąca pogarda, bardziej oczywiste lekceważenie. Podczas wieków korupcji, panowaliście jedynie nad słabościami mężczyzn... Jakiegokolwiek bariery by was nie otaczały, w Waszej mocy jest to, aby się od nich uwolnić; musicie być tylko chętne, by to uczynić.⁴

Olympe de Gouges jest figurą, heroiną, a przede wszystkim kobietą, która stworzyła podwaliny dla feminizmu. Jak przez całe życie twierdziła, jej głos był słyszalny we wszechobecnym tłumie męskich szeptów dlatego, że została do tego stworzona przez naturę. Jej życie, równie dramatyczne jak fascynujące, było naznaczone wieloma trudnościami, nad które Olympe wybijała się, pomimo opinii i głosów, które ściągając ją w dół, stały na straży chaotycznego porządku świata dowodzonego przez mężczyzn. Pomimo wszystkich poświęceń przez nią poczynionych, jej imię nadal wydaje się spowite całunem ciszy i zapomnienia, szczególnie w kręgach niezwiązanych z Francją, w sytuacji, w której powinno świecić blaskiem prześwietlającym największe ciemności, na które tak dobitnie, aż do ostatniego oddechu, rzuciła światło swojej niezłomności. ▲

³ O. de Gouges, *Deklaracja Praw Kobiety i Obywatelki*, tłumaczenie: Agata Araszkiewicz

⁴ Tenże, tłumaczenie: Michalina Wodzińska

Żołnierz królowej Madagaskaru

Polubienia, wyświeetlenia, liczba komentarzy pod postem. Fasony, kroje, makijaże i pachnące wody. Nowe filmy, filmiki i muzyczne klipy. Elektroniczne gadżety i zabieganie. Brak czasu. Zmęczenie i ciągle marudzenie. Brzmi znajomo? Może Ciebie też dopadła ta zaraźliwa choroba. Warto się przebadać, w tym celu zadaj sobie następujące pytania: Kiedy ostatni raz czytałaś/czytałeś książkę? Miałaś/miałeś czas na przyjemne spotkanie ze znajomymi w kawiarni? I najważniejsze, czy pamiętasz swoją ostatnią wizytę w teatrze? Jeśli nie to nie ma na co czekać. Nie trać czasu i zacznij działać.

Na szczęście nie musisz martwić się o koszty leczenia. Państwo refunduje darmową literaturę z publicznych bibliotek. Ciastko w kawiarni to wydatek paru złotych, a bilety do teatru też nie nadwyrężą Twojego portfela. Nie wierzysz? Czyż nie wiesz, że na wiele spektakli wejdiesz za mniej niż czterdzieści złotych? Pytasz się w jaki sposób? Wystarczy, że (nie wcześniej niż godzinę) przed sztuką zapytasz w kasie o tzw. „wejściówki”. Nie oczekuj miejsca pod sceną. Pamiętaj, że liczy się treść przedstawienia, a nie Twoje położenie na widowni.

Teraz zastanów się nad tematyką sztuki, którą chciałabyś/chciałbyś zobaczyć. Gorąco polecam Ci spektakl zatytułowany „Żołnierz królowej Madagaskaru”. Co ciekawe jego treść zachwyca i rozśmiesza wszystkich, a przecież miał on premierę 3 grudnia 1936 roku. Autorem jest nie kto inny jak Julian Tuwim. W Teatrze Polskim „Żołnierza...” w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego oglądać możemy od października 2018 roku. Nie uznaje się wymówek, że to za daleko. Teatr Polski znajduje się na ulicy Karasia, pięć minut od naszego liceum.

Treść dzieła przepełniona jest poczuciem humoru autora. Tuwim,

jak pisze Lidia Sadkowska-Mokkas „debiutował u progu Drugiej Rzeczypospolitej. Skamandryci, do których należał, tworzyli najbardziej znaną i reprezentatywną grupę poetycką okresu międzywojennego. W swojej twórczości akcentowali potrzebę związku poezji z teraźniejszością, uchwycenia całej różnorodności i biologicznej bujności życia. Nawiązywali do tradycji literackiej. Odcinali się od sztywnych reguł i krępujących twórczą swobodę zasad. Związali twórczość z życiem, wprowadzili do wierszy konkret, język ulicy, codzienność, energię miasta. Lubili zaskakiwać i prowokować. Nie stronili przy tym od kpiny, ironii czy żartu.” Taki właśnie jest „Żołnierz...”, pelen humoru i zwrotów akcji. Nie martwcie się, że nie zrozumiecie tekstu, że będzie za trudny, bo napisany został 84 lata temu. Skamandryci chcieli by ich słowa trafiały do nowego typu odbiorcy. Do zwyczajnych ludzi.

Mam nadzieję, że moja recepta pomoże Wam uleczyć się z tej okropnej, współczesnej choroby jaką jest pogoń za sukcesem, karierą, pragnieniem bycia lepszym od innych. Mimo, że receptę wystawiłam papierową, a nie elektroniczną honorowana jest we wszystkich bibliotekach, kawiarenkach i teatrach...

Milej kuracji, ▲



KĄCIK KULINARNY

PRZYPIECEK CYTRYNOWY

ONUFRY ZAGŁOBA

Mości panowie! Gdybym zaczął opowiadać co mi się przydarzyło, tedy i dziesięciu nocy by nie starczyło, a pewnie i miodu, bo stare gardło jak stary wóz smarować trzeba. Postaram się jeno po krótkce opowiedzieć czemu doświadczył.

Utudzeni długą drogą do Anusi wraz z panem Michałem zdecydowaliśmy spocząć na noc w karczmie. Koniom wody dać i samemu popić dobrych trunków, by lepiej się dalej jechało.

Gospoda należała do pewnego Żyda spod Częstochowy. Usiedliśmy w rogu, popijając słodkiego trunku. Michał podkręcał węża i patrzył dziwnym wzrokiem w kierunku wyjścia. Coś przeczuwał, młoda głowa to i szybciej myśli, jeno czasem zbyt zuchwale rodzą się w niej pomysły. Wtem do karczmy wpadli zbóje. Tęgie chłopcy, silne, tylko w zatargi by wchodzili. Ale, co to dla mnie! Wpadłem pomiędzy nich jak piorun kulisty i wyciągnąwszy swą szabelkę nawkladałem rozumu im do głów. Wołodyjowski jeno tylko zdążył dopaść niedobitków. Bodaj ich psi pojedli! Bodaj ich Żydzi na kołnierzach nosili! Rozprawiwszy się z rozbójnikami, kiszki marsza grać nam zaczęły, a jak starożytni mawiali: kiedy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą. Stary gospodarz, kontent z tego iż dobytek jego cudownie przeze mnie, to jest, przez nas, został uratowany, wypiekl w podarku przypiecek cytrynowy. Oto i przepis:

-Jedną kostkę masła w temperaturze pokojowej (temperatura ciepłej izby w chałupie) i trzy ćwiérci szklanki cukru wpiérw naszykować.

Zmiksować do puszystości, dodać skórę utartą z jednéj całej cytryny (prosto z krajów, gdzie ludzie nie wiedzą czym jest śnieg) i dwie łyżki soków z niej wyciśniętych. Następnie trzy cale jaja kurze, piękne, duże wbić do masy, przesiać półtorej szklanki mąki pszennej (ósma część kufla do picia miodu), dodać trzy ćwiérci łyżeczki proszku do pieczenia, szczyptę soli. Wszystko zmiksować na gładką jak lice białogłowy masę. Jeśli będzie za gęsta, dolać mleka.

Przełożyć do keksówki nasmarowanej tłuszczem. Piec w średnio nagrzanym piecu [180°C – przyp. red.] przez trzy kwadranse niecale.

Z mniej więcej połowy szklanki cukru pudru i z soku z cytryny zrobić lukier. Konsystencją gęstą śmietaną ma przypominać.

Miłych chwil spędzonych przy miodzie i przypiecku!

NOWOŚCI BIBLIOTECZNE

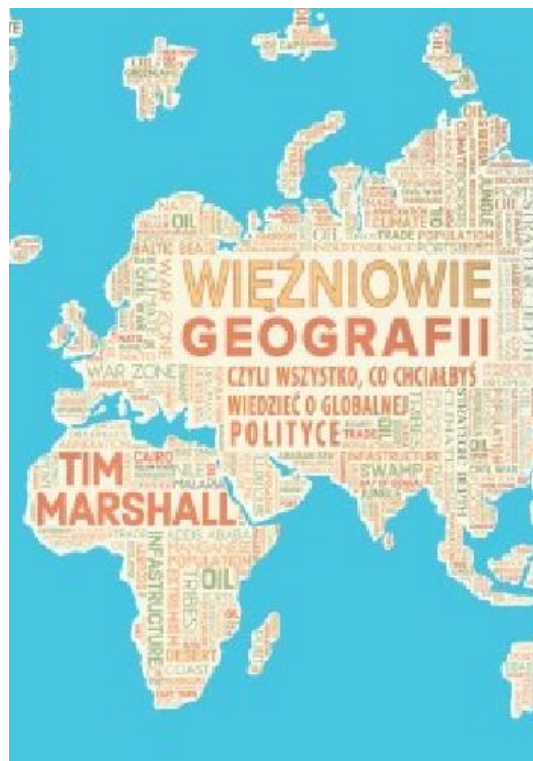
WIEŹNIOWIE GEOGRAFII

TIM MARSHALL

Przywódcy wszystkich państw i narodów są ograniczeni przez geografę. Ich wybory krępują góry, rzeki, morza i beton. Dlatego, chcąc nadążać za wydarzeniami na świecie, powinniśmy rozumieć ludzi, idee i ruchy społeczne, a dla uzyskania pełnego obrazu musimy również zrozumieć geografę.

Jeśli zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego Putin ma aż taką obsesję na punkcie Krymu, dlaczego przeznaczeniem Stanów Zjednoczonych było zdobycie statusu supermocarstwa albo dlaczego wpływy Chin wciąż się zwiększają – ta książka da ci odpowiedź na powyższe pytania.

Marshall przygląda się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, by przybliżyć czytelnikowi jeden z najważniejszych czynników wpływających na światową historię. Wskazuje, że pora więcej uwagi poświęcić przedrostkowi „geo-” w słowie geopolityka.



Maciej Zaremba Bielawski *Dom z dwiema wieżami*

przełożył
Mariusz Kalinowski
Karakter



DOM Z DWIEMA WIEŻAMI

MACIEJ ZAREMBA BIELAWSKI

Jako dziecko Maciej był dumny z rodowego herbu i przodka, który zwyciężył pod Grunwaldem. Kiedy miał siedemnaście lat, usłyszał od matki: „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką”. Był grudzień 1968 roku, a on poznał właśnie pierwszą z wielu tajemnic swojej rodziny.

Dom z dwiema wieżami to fascynująca próba rekonstrukcji rodzinnej historii, która dotąd pełna była przemilczeń. To rzecz o rodzicach – ojcu, reformatorze polskiej psychiatrii, piłsudczyku, jeńcu oflagu, matce – oddanej pracy lekarce pochodzącej z zasymilowanej rodziny żydowskiej. O dziadkach, o pewnym upadłym dworze, kolei transsyberyjskiej i uliczkach przedwojennych Krzeszowic i Tarnowa.

W opowieści Macieja Zaremba Bielawskiego historia, nawet ta znana, nie jest wcale oczywista i odsłania gorzkie paradoksy. Autor opisuje splót żydowskich i szlacheckich losów, przygląda się różnym obliczom etosu rycerskiego, zastanawia się nad źródłami polskiej ideologii narodowej i antysemityzmu. Jego wielostronna – szlachecka i żydowska, polska i szwedzka – perspektywa sprawia, że jest to refleksja świeża, wnikliwa, a zarazem pełna zaangażowania.

ZAKOCHANY KAFKA

JACQUELINE RAOUL-DUVAL

Kafka zakochany. Wrażliwy. Nieznośny. Zazdrosny. Wymagający. Zaborczy. Genialny pisarz. Wariat na punkcie miłości.

Chciał się zabić, gdy Felicja nie odpisywała na listy. Romans z Grete dał mu dziecko. Z Mileną spotykał się w tajemnicy przed jej mężem. Dla Dory zerwał kontakty z rodziną.

Franz Kafka był atrakcyjnym, smukłym i eleganckim mężczyzną. Kimś w rodzaju dandysa, który wiedział, jak oczarować towarzystwo. Robił niezwykle wrażenie na kobietach.

Te, w których się zakochał mieszkali daleko, w Berlinie lub Wiedniu. Z wszystkimi był zaręczony, żadnej nie poślubił. Pod koniec każdego ze związków rozpaczliwie pogrążał się w pisaniu i tworzył swoje najsłynniejsze dzieła: *Przemiannę*, *Amerykę*, *Proces*....

Kafka in love to biograficzna powieść na podstawie listów miłosnych i dzienników pisarza. Autorka śledzi losy jego czterech związków i pokazuje geniusza owładniętego miłością.



MADAME PYLINSKA I SEKRET CHOPINA

ERIC-EMMANUEL SCHMITT

Czy odważysz się wybrać nieoczywistą ścieżkę, by na jej końcu odnaleźć siebie?

Eric pokochał muzykę, gdy pierwszy raz usłyszał Chopina. Od tego momentu trawiła go pasja – nieustannie marzył, by jak najlepiej grać utwory swojego mistrza, lecz jego interpretacjom wciąż czegoś brakowało. Wszystko zmieniło się, gdy rozpoczął lekcje u pewnej Polki.

Ćwiczenia zalecane przez madame Pylinską były osobliwe. Wysyłała swego ucznia do parku, żeby słuchał szumu gałęzi i zrywał kwiaty bez strącania rosy. Poleciała też Ericowi uprawiać miłość, zanim zasiądzie do pianina, bo muzyce należy oddać się tak samo jak pożądaniu.

Nauczyła go, że w małych rzeczach kryją się wielkie inspiracje.

Madame Pylinska i sekret Chopina to jedna z najbardziej osobistych książek Érica-Emmanuela Schmitta. Francuski pisarz po raz pierwszy opowiada o tym, jak dzięki muzyce i swojej polskiej nauczycielce odkrył, że jego prawdziwym przeznaczeniem jest literatura. Ta historia pokazuje, że warto dokonywać nieoczywistych wyborów, delectować się każdą sekundą i smakować melodię dni.

